



## Jerzy Krakus

Sygnatura notacji: **N1426**

Data urodzenia: **17.04.1934 r.**

Data nagrania: **12.03.2020 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **70 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Na wstępie bardzo proszę, żeby pan powiedział: nazywam się tak i tak, data i miejsce urodzenia. Potem bardzo proszę trochę o rodzicach: jak się nazywali, czym się zajmowali. Potem o pana dzieciństwo, to co pan pamięta do wybuchu wojny. Legionowo okupacyjne, harcerstwo powojenne, безпеaka, a potem pana droga edukacyjna i życiowa. Bardzo proszę.

Urodziłem się w Warszawie.

Jakby pan jeszcze imię i nazwisko i data urodzenia.

Krakus Jerzy, urodziłem się w Warszawie. Ojciec miał na imię Stanisław, mama – Bronisława. Ojciec miał wykształcenie techniczne budowlane, prowadził przedsiębiorstwo budowlane. Tak jak jego poprzednie pokolenia zajmowało się budownictwem i ojciec też, tak że w czasie przedwojennym mieliśmy dostatnie życie ze względu na pracę ojca, który pracował. Mama była przy mężu. W trzydziestym dziewiątym roku, pamiętam pierwszy dzień wojny, alarmy. Natomiast pamiętam dokładnie 3 września. 3 września to w ogóle był znany dzień, bo wtedy wypowiedziały wojnę Niemcom Anglia i Francja, ale pamiętam, że wyszedłem na podwórze – mieszkaliśmy na Jarocińskiej 15 – i przelatywały niemieckie samoloty. I ja byłem na podwórzu. Otworzyły ogień. I pamiętam te takie wypryski piasku, jak Niemcy strzelali do mnie i ten piasek szedł w górę. Był też w tym, na tym podwórzu, pan Podlasiński, mieszkaniec tego domu i pan Jurek Sioto. No i niestety jego zabili. Matka do końca, kiedy żyła, chodziła zawsze w żałobie. No i później jak było zarządzenie ministra propagandy, Umiastowskiego, żeby mężczyźni opuszczali Warszawę ze względu

na to, że tam gdzieś dalej na wschodzie będą robione oddziały, no i myśmy opuścili Warszawę. Szliśmy do Międzylesia. W tym czasie były alarmy, na ulicę Grochowską, na jezdnię spadały bomby. Widziałem zabite konie, zabitych ludzi. No i w końcu dotarliśmy do Międzylesia. Nawet w tej chwili wiem, że to jest po tej stronie, co... Jak się jedzie do tego szpitala dziecięcego, po lewej stronie. No i tam żeśmy chodzili z mamą na Żagańską, żeby coś kupić czy coś dostać do jedzenia. W tym czasie też widziałem żołnierzy polskich, jak tam podjeżdżali czołgami i takich, którzy byli z piechoty, przeważnie buty mieli w rękę, bo mieli nogi odparzone. I taki był głód, że sklepowe im do hełmów sypały bułkę tartą. No i przyjechała nauczycielka gdzieś z tego rejonu, gdzie już się zbliżali Niemcy i kilku tych żołnierzy wzięta na wóz, wywozła, żeby ich przebrać i żeby nie szli do niewoli. No i później jak Niemcy weszli, żeśmy zaczęli wracać do domu. Wszędzie jeszcze były trupy, leje po bombach. Pamiętam, tutaj gdzie zaczyna się pętla tramwajowa, to po drugiej stronie Grochowskiej był taki wykop szerokoprzestrzenny i niemieckie działa stały. Oczywiście, już była kapitulacja, nie strzelały, ale tam tych dział było dużo. Dużo się też w tym czasie jak ta wojna była, przewijało samochodów polskich, z polskimi żołnierzami: i takie większe, i mniejsze. Bomby padały wokoło, Niemcy strzelali do... Kogo zobaczyli. Wszystkich chcieli zabić. Zresztą taki rozkaz mieli od Hitlera, który 28 sierpnia powiedział, że nie ważne jest osiągnięcie jakiejś linii w Polsce, żeby tam się dostać, tylko żeby wyniszczyć cały naród polski. I to cały czas oni będą stosować. Po powrocie do domu to była rozpacz. Szyb nie było, ojciec tam jakąś dyktę od szafy odbił z tyłu i szyby zabezpieczał. Mieszkaliśmy na Jarocińskiej 15. No i zaczęła się okupacja: głód, nędza. Ojciec pracy nie miał, trudno było o pracę, co było, to się sprzedawało, żeby przeżyć. Ponieważ nie mieliśmy na zapłacenie tych, tego komornego, musieliśmy się wyprowadzić na Obarowską, tutaj po drugiej stronie ulicy Grochowskiej. No i pamiętam jeszcze, żeśmy chodzili do takiej żony, koleżanki, która mieszkała róg Osieckiej i Grochowskiej, i z tego balkonu patrzyłem, jak niemieckie wojska w czterdziestym roku szły na wschód, pięknie wyposażone, wypasione... Ci żołnierze byli. Przejść na drugą stronę było ciężko, dopiero ludzi mogli przejść, jak jakiś pododdział taki skończył się i chwilę było miejsca, to ludzie wtedy przechodzili z jednej strony na drugą. Tak że widziałem te niemieckie oddziały, jak szły na wschód. Później, w czterdziestym czwartym roku widziałem, jak wracali. Ojciec, jak i nasi znajomi, zbierali się często w naszym mieszkaniu, no i rozmowa na temat aktualnych spraw okupacyjnych, o wojnie, którą Niemcy później rozprzestrzenili na Francję, na Anglię i na Europę, na te kolejne państwa. No pamiętam, jaka była rozpacz, jak się Francja poddała w czterdziestym roku, w czerwcu. No i tak jak większość Polaków, tak samo i ojciec się włączył też do pracy okupacyjnej... Do pracy konspiracyjnej, ale to dopiero już w późniejszym okresie. Miał znajomego, pana Trembickiego, który mieszkał na Żółkiewskiego 3, pracował w gazowni i w związku z tym należał do AK i woził różne konspiracyjne rzeczy. No i kiedyś wiozł jakiegoś wyższego oficera z komendy okręgu, no i zgadał się z nim, że ma kolegę, który jest budowlanicem i zna się na planach, umie rysować. No i po jakimś czasie ojciec został wezwany w odpowiednie miejsce i zaproponowali mu, żeby robił szkice obiektów, jak one są zabezpieczone, jakie są umocnienia, no i takie inne rzeczy, co tam można było zobaczyć. Warunek był taki, że nie może nic pisać, nie może robić żadnych notatek: ani w czasie tej drogi, ani w domu, tylko w jednym miejscu. No i takim szefem jego była pani Hala, kobieta, prawdopodobnie oficer Armii Krajowej. I ojciec po tych, co miał tam do zobaczenia, po tych oględzinach, przychodził w jedno miejsce, przeważnie na Miodową. Nawet pamiętam taki lokal, bo kilka razy byłem. Taki duży lokal i taki mieszkał, na korytarzu, taki pan Grudzień, który sobie zrobił antresolę i tam siedział na tej antresoli. Rozmawiałem z nim. I w całym czasie, jak to ojciec siedział w tej, w tym pomieszczeniu i robił te szkice, to było dwóch panów z tą panią Halą. Zawsze się palił ogień albo w kuchni, albo w piecu, żeby w odpowiednim czasie to spalić. No i tak było do końca, prawie przed powstaniem. Pamiętam, jak ojciec panią Halę prosił, żeby gdzieś go skierowa-

ła do jakiegoś oddziału czy coś, to się ona... Mówi: „Panie Stasiu, pan się lepiej przyda zamiast z karabinem, z ołówkiem, jak będzie się Polskę odbudowywać”. No i rzeczywiście tak się stało, że ojciec nie został przydzielony do żadnego oddziału, a po wojnie Polskę odbudowywał. A co z nią. Ona została zasypiana na Starym Mieście, miała ciężkie kontuzje, została na Długiej w tym szpitalu ulokowana. No i ojciec spotkał jednego z tej obstawy, jednego pana. On walczył na Starówce, ten drugi poległ na Woli, co był z nim, a pani Hala została, jak Niemcy weszli, zamordowana na Długiej. No i po tym już jak się zbliżał lipiec, powstanie, ojciec wiedział, że będzie powstanie – no przypuszczał, bo tam pewne nic nie było, tylko był ten nastrój taki ogromny, żeby walczyć z Niemcami. Pojechaliśmy do Legionowa, do państwa Antosiewiczów, tam, gdzie ja właśnie piszę. To byli nasi znajomi sprzed wojny. Jej mąż był – pani Haliny, bo ona jest główną, właśnie tam tym organizatorem konspiracyjnym – też miał przedsięwzięcie i się z tego znali. I tam żeśmy pojechali do nich, i tam wybuchło powstanie. Ale jeszcze tutaj chcę powiedzieć. Przed powstaniem, ja tam często z mamą jeździłem. W tym domu, w którym ona mieszkała, to była szkoła, to był jej dom – ich, Antosiewiczów. Miała syna, Jasia, który należał do konspiracji, przechodził wyszkolenie wojskowe. I miała dwie córki, takie w wieku dwanaście do piętnastu lat. Nie wiem, czy one brały udział wtedy, czy nie, w każdym razie narażone były, jak się by wydało, na konsekwencje. No i zdarzało się, że w czasie jak myśmy przyjeżdżali, były zebrania, tam dość często się odbywały. I wiem, że kiedyś, zapamiętałem – Kalwin, takie nazwisko. Jak się okazało, to był dowódca obwodu... Nie obwodu – no tak, Obwodu VII, podpułkownik Kazimierz Krzyżak. On był. Widziałem też dowódcę 1. Rejonu, majora „Grosza”, Romana Kłoczowskiego. Przychodził major Frydrychowicz. Widziałem też – lekarz. No i tam się dość często te odprawy odbywały, to było takie centrum konspiracji w Legionowie. No i jak wybuchło powstanie, to Jasio założył mundur, karabin, plecak i z tą „Madzią”, swoją żoną, łączniczką... Oddział się zebrał tam w rejonie tego naszego miejsca, gdzie myśmy byli, no i oni poszli walczyć. Odprowadzałem ich dokąd mogłem. Pamiętam, jak to powstanie w Legionowie było. Tam były koszary, no i nas tam... Ja nawet z rodzicami poszedłem, żeby coś się podratować, do, coś znaleźć do jedzenia. No i rodzice przynieśli takie paczki z salcesonem niemieckim w puszkach i z rybkami, to żeśmy przez jakiś czas to mieli. A ja taki karburator złapałem, jako dzieciak, taki błyszczący – później trzeba go było zakopać. To był gaźnik od samochodu. No i to powstanie trwało. Dawaty znać o sobie najwięcej pogrzeby, bo tych żołnierzy z Legionowa, którzy byli w tym oddziale, oni walczyli, to trochę zginęło. No i chodziłem na te pogrzeby. Nauczycielki płakały, bo to byli ich uczniowie. No i po tym już jak było wiadomo, że powstanie upadnie, to chodziliśmy, żeby te groby wziąć, likwidować w tym sensie, żeby hełmy zdejmować, zmieniać tabliczkę, tablicę na tych krzyżach, żeby Niemcy nie zorientowali się, że to byli powstańcy. No i później weszli Niemcy, zaczęli robić rewizje. Ale jeszcze przed tym nim zaczęli robić rewizje, ogłosili, żeby się wszyscy mężczyźni z Legionowa zgłosili na rynek, kto się nie zgłosi, to oczywiście zostanie rozstrzelony. No i tych mężczyzn tam się zgłosiło, no nie wiem ile, ale myślę, że około 200 na pewno. Zabrali dowody tym mężczyznom i pognali ich do kopania okopów w rejon Nieporętu. Front się zbliżał. Byli tam bardzo źle ci mężczyźni traktowani, bici, byli bici, nie mieli co jeść, musieli te okopy kopać. No i nie wiem, kto to był inicjatorem, w każdym razie łączniczka „Madzia” dostała worek z tymi dokumentami, które udało się wyjąć z tej gminy, z tego zarządu miasta, bo tam to było schowane, no i poszła w nocy, żeby tym ludziom dostarczyć te dowody. Prawdopodobieństwo, że dojdzie szczęśliwie, było małe, a ona się odważyła i jakoś cudem przeszła. No i od razu te dowody rozdała i szybko one się rozeszły. Ludzie już jak mieli, ci mężczyźni, te dowody, to zaczęli uciekać i uciekli tym Niemcom. No i to ich w moim przekonaniu ocalało, bo nie wiadomo, co by się z tymi mężczyznami stało. Jak ona weszła w posiadanie tych dowodów, to nie wiem, sądzę, że jej ktoś musiał pomagać tam, który był bliżej tych papierów. Też oczywiście narażał się tak samo jak

i ona. Ja myślę, że to można ustalić w tej chwili, bo pamiętam, jak pan minister tam zebrał ludzi i ogłosił, że będzie budowany szpital w Międzyzlesiu, pan Mariusz Błaszczak, to tam widziałem, że byli ludzie z konspiracji, mieli odznaki, tak że jeszcze tam kilku powstańców żyje i myślę, że nawiązanie kontaktu z tymi ludźmi by tę sprawę wyjaśniło, jak ona weszła w posiadanie tych dowodów, no i jak to wszystko wyglądało, już od tych bezpośrednich świadków. No i później, jak ojciec dostał też ten dowód, bo między innymi ojciec był też mój na te okopy wysłany, no to myśmy... Tam była taka rada, żeby się jak najbardziej rozproszyć i myśmy przechodzili do Choszczówki: ja, mama i ojciec. Mieliśmy takie bagaże i kiedy szliśmy do Choszczówki, mieliśmy przejść przez las, który oddzielał Legionowo od Choszczówki. No i była droga przez ten las i na tej drodze była tabliczka, że kto wejdzie, zostanie rozstrzelony. Spojrzeliśmy na tę tabliczkę, spojrzeliśmy wokoło, godzina policyjna się zbliżała, wrócić już byśmy nie zdążyli do Legionowa, no i rodzice zdecydowali się wejść do tego lasu i przejść mimo zakazu. Uszliśmy może z pięćdziesiąt metrów i zobaczyliśmy, jak jedzie Niemiec na motorze z przyczepą. Mama zaczęła się ze mną żegnać, wiedzieliśmy, co to oznacza. Płakała. Ojciec też był przekonany, że nas rozstrzelą. I kiedy ten motocykl dojeżdżał, on tak w naszym kierunku frontem i momentalnie zaczął się zakopywać. Koła zaczęły buksować, trafiły w jakąś... Na piasek. I nie mógł ten Niemiec wyjechać. I wtedy rodzice rzucili się i zaczęli go wypychać, no i ten motor ruszył, no i Niemiec pojechał. Stanął na skraju tego lasu, a myśmy zaczęli uciekać. Ojciec krzyczy: „Zygzakiem! Zygzakiem! Zygzakiem!”. Żeśmy ulecieli jakiś czas, ja się obejrzałem, widziałem, jak ten Niemiec stał, tutaj miał tak przewieszony pistolet maszynowy – był z żandarmerii polowej, miał tutaj tę taką blachę. No i w taki sposób cudem żeśmy zostali uratowani. Ja to nazywam cudem. A jeszcze muszę dodać, że on był... Motor z przyczepą i tylko on był jeden, bo gdy byłoby ich dwóch, no to już by było po nas. No i żeśmy wrócili do Choszczówki. Front się zbliżał, był bardzo na tych terenach taki front intensywny. Jak pamiętam, to nie było sekundy, żeby nie było słychać, że pociski wybuchają. Pamiętam, kiedyś żeśmy siedzieli przy takim huraganowym ogniu, nalocie, w piwnicy. Wyszliśmy z piwnicy, to studnia była zniszczona, taka do wyciągania wody. Dom był cały podziurawiony. No i pamiętam też, w tej Choszczówce, jak Niemcy wysadzali szyny – autentycznie. To nikt o tym nie mówi, ale wszystkie te szyny wysadzili. Myślę, że to musiało być przed 15 września, bo 15 września Niemcy wysadzili mosty i przeszli na drugą stronę, już na lewy brzeg, tak że to musiało być kilka dni wcześniej. Ale tutaj na tym terenie się trzymali jeszcze dłużej. Mieli taki most zrobiony, pontonowy. Myśmy się później znaleźli w Jabłonnie. Byliśmy w takiej piwnicy, to były takie piwnice budowane, z takim zejściem podziemnym i pod ziemią były te piwnice. I myśmy w takiej piwnicy byli, mieszkaliśmy. Niemcy ciągle przychodzili i szukali mężczyzn do roboty. Kobiety w łóżkach tych mężczyzn trzymali, posłali, tak że byli całkowicie zamaskowani. Młode dziewczyny też się chowały, bo tam były. Kobiety się nie myły, starały się jak najgorzej wyglądać, a mimo to brali Niemcy. Widziałem, jak złapali – była taka, takie narzeczeństwo – i złapali jedną z tych dziewczyn do kopania, do obierania kartofli. No i rano przyszła, rozpacz niesamowita, ten nie chciał się z nią w ogóle kontaktować, ten narzeczony, jakby pretensję do niej miał. No i któregoś razu ojciec już nie wytrzymał i wyszedł z tej piwnicy, żeby powietrza złapać, no i szedł Niemiec, i powiedział: „Jak – mówi – tutaj za piętnaście minut wrócę, jak pana nie będzie, to będą rozstrzelani”. No i wzięli ojca do kopania... Tam do tych takich prac, kopania okopów, tam kartofle zbierał. I miał duże szczęście, bo zbierał kartofle dla tych Niemców w kosze i te kartofle wziął, zaniósł tam i w tym miejscu, gdzie ojciec stał, uderzył pocisk, no i gdyby ojciec jeszcze tam jakiś czas był, no to by już po nim było. No i przyszedł taki dzień... A! Jeszcze chcę powiedzieć o piekarzu w Jabłonnie, też bohater. Do końca, kiedy ludzie byli, piekarnia była. Nic za te nie chciał, za pracę. Jak się mu przyniosło mąkę czy tam zboże, to chleb wypiekał, tak że ludzi... Ludzie tamci [się] dzięki temu utrzymywali. No i któregoś dnia przyszli Niemcy i mówią, że: „Musicie się wynosić, do jutra macie tutaj

nie być". No i kiedy już żeśmy z mamą myśleli, że ojciec nie wróci, akurat ojciec wrócił. Pamiętam ten moment, bo Niemcy wysadzili pałac, jakąś część pałacu chyba, w Jabłonie i ten podmuch wrzucił mnie do piwnicy, tak upadłem. No i ojciec przyszedł, no i następnego dnia żeśmy wychodzili. Niemcy przyszli, rzucili granaty do tej piwnicy, żeby się upewnić, że nikt nie został. No i szliśmy przez Puszcę Kampinoską. Żeśmy przechodzili, były jeszcze ślady walki w Puszczy Kampinoskiej, bo 27 września oddziały puszczańskie wyszły, dwudziestego dziewiątego zostały rozbite pod Budami Zosińskimi. Tam wtedy zginął major „Okoń”, Alfons Kotowski, dowódca zgrupowania „Kampinos”, wtedy aktualny, no i około 150 żołnierzy. Przebiła się tylko niewielka grupa porucznika „Doliny”, ze wschodu, który przyszedł, do Gór Świętokrzyskich, około sześćdziesięciu ufanów. Tak że my żeśmy szli właśnie przez ten Kampinos, to żeśmy widzieli właśnie te pozostałości. Żeśmy w jakiejś wsi nocowali. To pamiętam, że spałem na powietrzu, jak się obudziłem, to ten szron jeszcze był, bo już takie przymrozki były. No i żeśmy doszli do Wisły, do mostu, tego niemieckiego, co jeszcze na tym odcinku działał. Pamiętam, jak ci oficerowie niemieccy tam patrzyli przez lunety. Przeszliśmy przez ten most no i znaleźliśmy się po drugiej stronie Wisły. Pojechaliśmy do Ożarowa. Ojciec gdzieś czapkę kolejarską skombinował, jak... łatwiej się mu było z tą czapką kolejarską poruszać. I w końcu trafiliśmy do Sochaczewa. W tym Sochaczewie Niemcy jeszcze się bronili, ale dostali rozkaz już odwrotu, no i tam weszli żołnierze radzieccy. Pierwszy przyszedł zwiadowca, to było chyba 17 stycznia. Myśmy mieli taki domek z mamą, gdzie żeśmy mieszkali, przy tym szpitalu, tam była łaźnia zaraz. To było takie przy łaźni pomieszczenie. I tam Niemcy zajęli to pomieszczenie i tam były telefony, takie te inne rzeczy i jak się wycofali, to zostało. I myśmy z mamą to zaczęli wyrzucać. I ze mną był taki chłopczyk, nazywał się Sydry Bogdan, Żyd, jego matka tam była kucharką, kierowniczką kuchni. Myśmy wszyscy wiedzieli, że ona jest Żydówką. Ona później została i tam w komitecie partyjnym pracowała po wojnie. No i żeśmy to wyrzucali. I pamiętam ostatnich Niemców, których widziałem, dwóch takich szło. Jak mama to zobaczyła, to mówi: „Koniec z nami”, ale przeszli obojętnie. I później za jakieś parę minut słyszę: Ruki w wierch! I słyszę głos ojca, a ojciec po rosyjsku mówił. Lecimy, a ojciec z tym Rosjaninem się trzyma, całują się. To był pierwszy zwiadowca, ten Rosjanin. No i później te intendentki w szpitalu zrobiły przyjęcie dla niego, ojciec tam też był. Ja poszedłem. Zawsze miałem taką skłonność do broni. On miał pistolet maszynowy, chciałem go dotknąć. Nie, nie, nie. Trzymał go tutaj, pił wódkę, rozmawiał, tu go trzymał na kolanach, ten pistolet. No i rano jak się obudziliśmy, to już było pełno wojska rosyjskiego. Zdziwiło mnie to, że tam było dużo kobiet, one ciągnęły te karabiny maszynowe Maximy. No i zaraz muzyczka, zaczęły tańczyć, zaczęły grać. A ponieważ mój ojciec był bardzo muzykalny, umiał grać na gitarze, przed rewolucją jeździł do ciotki, do Rosji, która tam była, ojca mojego dziadka siostra. Była w tej czołówce artystycznej, znakomicie się jej powodziło. No i ojciec znał dużo piosenek. Jak zaczął grać, śpiewać po rosyjsku, to był Stasio na pierwszym miejscu do tego stopnia, że ci Rosjanie przynosili nam pożywienie. Przejechali do miejscowości blisko Sochaczewa, zabrali nas ze sobą, obiecali nam, że do domu nas zawiozą, bo będą jechać na wschód. I tak się stało. I pamiętam, jechałem z tymi Rosjanami, jechałem w szoferce z tym kierowcą, nie pamiętam, czy ktoś jeszcze jechał, to widziałem te skutki wojny i widziałem taki placek na jezdni kształtu człowieka, tak jakby człowiek był rozprasowany. To był człowiek, który te samochody go tak przejeżdżały, że się w końcu takim plackiem zrobił. No i jak dojechaliśmy do Warszawy, to był most pontonowy wtedy. Ruiny niesamowite, wrażenie straszne. Ta droga to była oczyszczona, ta, co żeśmy nią jechali, a resztę, wszędzie było widać gruzy, wszystko. Coś straszego. Zresztą żeśmy byli na to przygotowani, bo było widać jak tam z Legionowa, jak ta cała Warszawa płonie, ten... Jak jest spowita dymem. No i przywieźli nas do domu ci Rosjanie, zostawili jeszcze, co tam się mogli podzielić. Był dziki lokator w tym naszym mieszkaniu, to go wywieźli, tak że mam o tych Rosjaninach, o Rosjaninach z tej pierwszej linii dobre wspo-

mnienia. To nie byli ci enkawudziści, którzy mordowali, którzy... I tych żołnierzy mordowali, bo szedł „czarny batalion” zawsze za takimi żołnierzami, kto się chciał cofnąć, to dostawał w czapę. Oni się z niczym nie liczyli. Ale ci właśnie ludzie, tacy frontowi, no to tak jak myśmy się zetknęli z nimi, to nic nie można im było zarzucić. No, a później już jak tamci pojechali, zaczęła się organizować władza ludowa, no to trzeba było... To się słyszało: tego aresztowali, tego aresztowali, żeśmy trochę tych ludzi konspiracji znali. Ojciec się bardzo bał cały czas, że się wyda to, co on tam za okupacji te szkice robił. Mówi, to sprawa byłaby beznadziejna, bo by go za szpiegostwo wzięli, oskarżyli, a to wyrok mógł być tylko jeden. No, ale na szczęście nie wydało się. No i później co? Jak miałem już dwanaście lat skończone, to był rok czterdziesty siódmy chyba, na początku, zapisałem się do harcerzy, do 129 drużyny. Ona miała siedzibę przy obecnym Stadionie X-lecia. Tam nad brzegiem Wisły był taki domek zbudowany, na takich wysokich słupach i tam mieliśmy zbiórki. Mieliśmy zajęcia terenowe. Do ćwiczeń było kilka karabinów, oczywiście takiej nie do strzelania, tylko z przewierconymi w poprzek lufami, no ale żeśmy się ćwiczyli. No i później, po jakimś czasie, może roku – a tam starałem się przykładać, chodziłem na te zbiórki, bardzo mnie to odpowiadało, zaproponowali mi, czy chcę się szkolić wojskowo. Oczywiście. No i chodziliśmy na Sienną, już tych budynków nie ma, do takiego lokalu gdzie przychodzili ci instruktorzy, którzy byli instruktorami jeszcze z czasów okupacji i uczyli nas tych wszystkich zagadnień wojskowych: regulamin musztry, topografii, zwiadu, walki w mieście. Były kursy motorowe, ale ja nie brałem udziału, bo byłem za młody. No i później był egzamin, który zdałem pozytywnie. No i tak jak mówię, któregoś dnia, to już był rok chyba czterdziesty dziewiąty, na wiosnę, przyszedł do mojego mieszkania drużynowy, pan Kifer się nazywał, z przybocznym – zapomniałem jego nazwiska – i powiedział, że musimy zawiesić działania, bo już harcerstwo jest zabronione, już się aresztowania rozpoczęły. No i tak to się stało. Pamiętam, zastępowym był Maciek Szczepański, jednym z przybocznych był Mietek Dominiak. Był jeszcze zastępowy, Dobrzycki się nazywał. Tam na Krypskiej była taka, taki dom, sierociniec czy coś, to tam też ci harcerze byli, tak że to były dość poważne siły. No i wtedy zaczęły się aresztowania masowe tych harcerzy. Zaczął się odradzać ruch. Wszyscy już wiedzieli, co to jest ten socjalizm, co to jest UB. No i to młodsze pokolenie takie jak ja i trochę może jeszcze starsi, którzy nie byli w konspiracji, zaczęli tworzyć różne organizacje i tych organizacji było bardzo dużo, myślę, że kilkaset, a może i koło tysiąca. No i komuniści się strasznie tego bali, oni chcieli tę młodzież wychować po swojemu. Oczywiście, część tej młodzieży była, która, którzy chcieli nosić czerwone krawaty i zieloną koszulę, ale znacznie więcej było tej młodzieży, która była przeciwna komunie, która się organizowała, no i te organizacje powstawały jak grzyby po deszczu. Komuniści zwalczali je z niesamowitą premedytacją i chcieli zastraszyć, i likwidowali też dużo, dużo ludzi. No i w taki sposób znalazłem się 18 lipca pięćdziesiątego drugiego roku w Pałacu Mostowskich, gdzie mnie trzymali do 4 listopada, na śledztwie. Warunki były bardzo ciężkie, spało się na siennikach, na podłodze. Było tam dużo tych takich starszych ode mnie żołnierzy Armii Krajowej. Zapamiętałem dobrze takiego pana Jana Kancelerczyka z 27. dywizji, który siedział już pięć lat w areszcie, nie miał żadnych... Nie miał sprawy, tylko go tak trzymali, bali się go puścić. W końcu założył głodówkę, już nic nie jadł. „Już – mówi – już wszystko jedno, już – mówi – nie wytrzymam”. To go wzięli na izbę chorych i tam go karmili. I później jak mnie przewieźli do więzienia na Ratuszowej, to go widziałem ostatni raz. Tam na tym, w tym więzieniu na Ratuszowej do pięćdziesiątego chyba pierwszego czy drugiego roku wykonywali wyroki śmierci. I tam było takich dwóch: jeden nazywał się Barczyk... Barczak, który strzelał, a drugi Dąbrowski. A później zlikwidowali, już nie wykonywali tu wyroków, tylko na Mokotów wozili i tam wykonywali wyroki. Widziałem tych ludzi skazanych na karę śmierci, tam było ich dużo w tym więzieniu, bo cela nasza, w której ja byłem, to graniczyła z tymi „kaesiakami”. Po drugiej stronie była, to już byli „kaesiacy”. I myśmy mieli kontakt z nimi przez okno. Jak się



wystawiło rękę, to tam... I oni wystawili, a zakryta... Nie widać tego, bo były takie, blindy się nazywały, z blachy. No i pamiętało się jak, słychać było taki tumult na korytarzu, że przychodziło więcej ludzi, to było wiadomo, że biorą na śmierć – w samochód i na Mokotów, i... Tam już wtedy wykonywali wyroki, tu już nie. Tak że jak się spojrsało przez okno na, jak ci więźniowie chodzili, to od razu „kaesiaków” było można odróżnić po zachowaniu. Byli tacy nerwowi, tak nerwowo chodzili. Chleb nam dawali przez, przez te blindy, myśmy im papierosy dawali, bo oni byli bardzo nerwowi i mało co jedli. Jedzenie było straszne. Przeważnie była taka kapusta zepsuta, kawy trochę, czarny chleb i to wszystko. Były wypiski takie też, kto mógł, to mógł wypisać raz na dwa tygodnie. No to był taki specjalny chyba dla więźniów robiony na wypiskę, taki – „fiut” się nazywał – taki czarny salceson, coś w tym rodzaju. Margaryna była, można było kostkę wypisać. Tak że dopiero masło to zobaczyłem po wielu miesiącach. No i za byle co do karca. Pamiętam, że mną siedział taki Kazimierz Łabędź, z Narodowych Sił Zbrojnych, chłop wielki taki, pół głowy ode mnie, bardzo przyzwoity i jego brat stryjeczny był inspekcyjnym w tym więzieniu, jako klawisz. Miał takie większe trochę stanowisko, był starszym sierżantem czy czymś. I kiedyś przychodzi naczelnik więzienia, i mówi: „Wy widzicie, Łabędź, co z wami, jak wyście poszli przeciwko Polsce, a tutaj wasz krewny jest inspekcyjnym”. A on odpowiada: „Całe szczęście, że tylko jeden w rodzinie się skurwił” – taki odważny był, tak powiedział temu naczelnikowi. Z tej organizacji to był Juziek Klatkowski, też z Miłosnej. Był Władek Kotasiewicz, który nie wytrzymał, umarł. Cały czas tylko trzymał się za puls, nerwowo i w końcu umarł. No i jeszcze był, ale nie wszystkich pamiętam. Tak że tych organizacji było. Wozili nas na sprawę. I pamiętam taki moment, jak ze sprawy, która się już wtedy zakończyła, była mowa obrońców, zawieźli nas na Mokotów, a myśmy na Mokotowie, żaden z nas nie był, tylko byliśmy na 11 Listopada, a Stefan był w szpitalu więziennym. No i jak nas tam wprowadzili, była taka duża cela, było tam trochę ludzi i w końcu ci ludzie zaczęli... Gdzieś, gdzieś ich pozabierali i został jeden mężczyzna, taki trochę rudawy. Siedział tak po turecku na jakimś stołku i przedstawił się, że on jest Aleksandrem Kamińskim, tym, co napisał „Kamienie na szaniec”. No i zaczął z nami rozmawiać, żeby wy badać nasze nastroje, jak my jesteśmy nastawieni do obecnej rzeczywistości. I dopiero zorientowałem się, że to był ubek podstawiony, kiedy przeczytałem po wielu latach życiorys Aleksandra Kamińskiego, który jest w wydaniu „Zośka” i „Parasol”, a do tego czasu myślałem, że to był prawdziwy Aleksander Kamiński. Tak że na takie różne sztuczki się, sztuczki się zdobywali. Tak że jak Stalin umarł... Myśmy mieli wyrok 11 lutego pięćdziesiątego trzeciego roku, a Stalin umarł 5 marca pięćdziesiątego trzeciego roku. Byłem wtedy w więzieniu na Listopada, w więzieniu tym politycznym. To się nazywało „Toledo” powszechnie. Zaczęliśmy się cieszyć, tupać, śpiewać. Klawisze się denerwowali niesamowicie. Latali, otwierali cele, wywlekali takich bardziej, bliżej, aktywnych i zamykali do karca. No i przetrzymałem to wszystko, te całe więzienia. Później mnie wywieźli 4 listopada do obozu pracy na Monopol. Monopol to tutaj był przy Anielewicza, taki ciężki obóz pracy. Ja się jeszcze tak dobrze fizycznie trzymałem. Tam miałem wypadek, przygnieciony byłem przez przyczepę do ściany. Byłem na izbie chorych kilka dni. Coś mnie tam się stało, bo nie mogłem nawet utrzymać szklanki czy kubka z herbatą. No, ale później jakoś doszedłem do siebie. Stamtąd mnie wywieźli na Gęsiówkę - to było paskudne więzienie dla kryminalistów. No i stamtąd wywieźli mnie na, do Miłęcina, do obozu pracy. Tam poznałem lotnika z Dywizjonu 303, Łokuniewskiego – może przekręcą nazwisko. Zresztą czytałem te książki, ile tylko mogłem. Wtedy nie wiedziałem, jak on się nazywa i później przez wiele czasu nie wiedziałem, kto to mógł być, ale to musiał być tylko on, bo tylko jeden był więziony i później został on attaché wojskowym i tamci wszyscy pozostali się go wyrzekli. No i on prowadził kursy dla analfabetów, no i ja się na taki kurs zapisałem, żeby czas jakoś spędzać w tym więzieniu. No i on się zorientował, że ja coś niecoś więcej umiem niż same litery, no i tak przez jakiś czas się z nim przyjaźniłem. No i stamtąd mnie wywieźli... Nie, zwolnili, 17

września pięćdziesiątego trzeciego roku. Myśmy się wszyscy bardzo dobrze trzymali na tym śledztwie, tak że niewiele z nas mogli wydobyć. Koledzy mnie nie oskarżyli. Takie było postanowienie, że skoro znałem tego czy tego, to musiałem wiedzieć o chęci założenia nielegalnej organizacji, bo to dopiero było wszystko w takiej fazie początkowej. No i skazali mnie na dwa i pół roku więzienia, z tego połowę przesiedziałem. Tak że przeszedłem to wszystko na własnej skórze, poznałem tych ubowców, ich taktykę, ich draństwo, ich podstępny, jak nas niszczyli. Prokurator Mieczysław Meł, umarł w Izraelu, jak nas oskarżał, to mówił, że jesteśmy chwasty, które trzeba niszczyć. No i nie pomylił się, bo niszczyli nas. I tak to było. No po powrocie z więzienia nie mogłem skończyć szkoły, bo miałem przerwana szkołę. Poszedłem do wojska, po wojsku zacząłem się uczyć. Skończyłem technikum budowlane. Zaraz po tym technikum poszedłem na studia inżynierskie, które skończyłem, dostałem dyplom inżyniera. Pracowałem przez szesnaście lat na państwowych posadach, budowałem jedne z większych obiektów w Warszawie, które powstały pod moim kierownictwem. No, a później chciałem się jak najmniej stykać z socjalizmem i założyłem własną firmę budowlaną. To już się z socjalizmem nie spotykałem w tym sensie, że jakieś zbiórki, jakieś, jakieś takie masówki, że na pochód pędzą, że to. To już było zupełnie inne życie. I do dzisiejszego dnia prowadzę firmę budowlaną. A co do łączniczki „Madzi”: zdaję sobie sprawę z jej bohaterstwa, bo to było naprawdę niezwykle bohaterstwo i będę bardzo prosił panów, żebyście dopełnili to, co ja nie wiem i żeby dać jakiś wniosek o pośmiertne przyznanie jej co najmniej Krzyża Walecznych.

Mówił pan, że jak gdyby po Powstaniu Warszawskim, mówił pan o żołnierzach, akowcach z Legionowa. Czyli oni się sformowali i poszli do Warszawy na Powstanie, tak?

Kto?

Wyszli... Ci żołnierze Armii Krajowej, którzy byli w Legionowie.

Nie, nie, to byli miejscowi.

Tak, ale oni wyszli do Warszawy na Powstanie?

Nie.

Czy oni tylko byli pod bronią w...

W Legionowie.

W Legionowie. Czyli łączniczka, o której mówimy, też do Warszawy nie wyszła.

Chyba nie, chyba nie.

Ona była na miejscu.



Chyba nie. Zresztą, na dobrą sprawę, to nigdy się nie dowiedziałem, jak było z tym Jasiem Antosiewiczem, bo wiem, że jakiś, że jakieś oddziały przedostawały się do Puszczy Kampinoskiej, ale czy to, czy to on się przedostał, tego nie wiem.

Teraz tak: mówił pan o pochówkach poległych. Oni na Warszawę nie poszli, czyli oni walczyli gdzie?

W Legionowie i tam byli chowani.

Czyli w czasie walk na miejscu, tak?

W czasie walk na miejscu.

Dobrze. Następna sprawa: kiedy łączniczka z Janem Antosiewiczem się, wyszła za niego, za niego za mąż. Orientacyjnie.

Ja myślę, że po Powstaniu już.

Już po Powstaniu?

Tak, bo...

Ale jeszcze wojna trwała.

Tego nie wiem.

Chodzi mi o to...

W każdym razie...

W wykazach widnieje pod panieńskim...

W każdym razie, co tutaj uzupełnię: że ja byłem u tej pani łączniczki, ona mieszkała gdzieś na Ochocie, na Biało-brzeskiej czy gdzieś, z Jasiem mieszkała i miała dwóch synów. I jak wiem od tego jednego syna, z którym się później przyjaźniłem, Pawła, to ona umarła na raka, no i w jakiś czas później Paweł umarł na raka. Tak że ona po wojnie wyprowadziła się z Legionowa, jakoś załatwili mieszkanie i mieszkali tutaj na Ochocie. Tak że ona nazywała się Antosiewicz.

Przynależność do nielegalnej organizacji konspiracyjnej?

Co dostałem?

Jaki zarzut panu postawili?

Że wiedziałem o organizacji i nie oskarżyłem ich – to. A koledzy, jak byłem z nimi, koledzy mnie, którzy zostali aresztowani wcześniej... Mnie złapali w „kotle”, to już później się jak najmniej, żeby powiedzieć. Tak że dostałem art. 18 w związku z art. 87 Wojskowego Kodeksu Karnego, z dekretu z 14.06.1946 roku o sprawach niebezpiecznych w odbudowie państwa polskiego.

Czy pan wystąpił o status osoby represjonowanej?

Mam legitymację.

Czyli otrzymał pan ten status.

Tak, mam legitymację jako osoba represjonowana. Tak że mam tę legitymację.

Pan ukończył Politechnikę Warszawską, tak?

Tak.

Wydział budowlany.

Budownictwo...

Budownictwo...

Budownictwo ogólne.

Budownictwo lądowe.

Inżynier-konstruktor, to znaczy się od obliczeń tych elementów, które trzymają budynek.

Wytrzymałość.

Wytrzymałość. No i oczywiście, no, wszystkich innych elementach, ale specjalność właśnie ta konstrukcyjna.

A mógłby pan podać kilka obiektów warszawskich, nad którymi pan pracował?

Naturalnie. Taki najbardziej znany obiekt to jest piekarnia żerańska na Odlewniczej 10. To była wtedy największa piekarnia w Polsce, jedna z większych w Europie. To była międzynarodowa budowa, bo tak: piece do chleba dostarczała Rosja, Związek Radziecki. Część automatyki – Austria, a paluszki grissini, to taki był specjalny pawilon budowany, to dostarczali Włosi. Tak że tę budowę budowałem. Na terenie Pragi budowałem Instytut Tele- i Radiotechniczny, duży taki budynek. To jest tutaj na Ratuszowej 21. To jest instytut, tam były laboratoria, tam wszystkie gazy, jakie tylko są, to tam były, instalacja była, żeby... Do spraw badawczych. Byłem przy budowie Grochów II, osiedle całe, mieszkaniowe. Poza tym budowałem Instytut Budownictwa Rolnego w Kłudzienku koło Grodziska Mazowieckiego. Budowałem osiedle przy Centrum Onkologii, tutaj przy Roentgena, co tam jest. Z tych takich większych. No i, no i przy tym się trochę zeszło. Poza tym pracowałem przy remontach. Byłem przez kilka lat kierownikiem technicznym na Ochocie, podlegało mi coś ze dwanaście ekip remontowych, czterdziestu techników i byłem odpowiedzialny za stan techniczny całej dzielnicy. Pracowałem przy remontach kapitalnych na Pradze Południe, na Ochocie, tak że to te szesnaście lat, które pracowałem na państwowej posadzie, to to wypełniło. A później chciałem być dalej od socjalizmu, żeby nie mieć... Być blisko sekretarza, sekretarza partii, bo zawsze taki był. Żeby nie mieć tych związków zawodowych między innymi, no i trochę wrodzona ta sprawa związana z firmami, która szła z pokolenia na pokolenie w rodzinach Krakusów. I tak w ten sposób założyłem własną firmę i do dzisiejszego dnia ciągnę jakoś. Teraz już te roboty są mniejsze, już nie mam tej takiej siły, żeby te większe robić, no i nie mam takich środków finansowych, żeby, żeby te większe roboty kontynuować, robić, ale zawsze sobie trochę dorobię i mogę powiedzieć, że jestem niezależny, jeszcze mogę komuś pomóc z rodziny. Ja zawsze pamiętam, chociaż syn też jest inżynierem i córka dwa fakultety skończyła, jeden: nauki społeczne i polityczne, a teraz będąc mężatką, mając troje dzieci, skończyła psychologię trzy lata temu i teraz też jako psycholog dorabia. Tak że, tak że no, modlę się, żebym do końca swoich dni pracował, żebym zakończył życie, jeszcze pracując. Żebym nie był ciężarem dla nikogo.

O ile dobrze policzyłem, firmę budowlaną założył pan w sześćdziesiątym dziewiątym roku.

12 kwietnia sześćdziesiątego dziewiątego roku, tak jest na papierach.

A jakichś kłopotów takich, w typie domiarowym, podatkowym? Nie próbowali pana [01:05:33 niezrozumiałe]?

Nie, nie, nie. Dlaczego. Dlatego że dla mnie zawsze były sprawy najważniejsze, żeby zapłacić ZUS, zapłacić podatek, nie mieć nic takiego, co by się do mnie mogli przyczepić i na tej bazie tak zawsze działałem, że się do mnie nie przyczepiali, tak że nie mogę narzekać, żebym tam był jakim, jakiegoś miał domiary. To już w tym okresie trochę łagodniej nam na tę inicjatywę patrzyli, to już sam Gierek popierał wtedy.

Tak głównie niszczyli no od połowy czterdziestych do końca lat pięćdziesiątych, prawda?

Najgorzej niszczyli do czasu wymiany pieniędzy, tych wszystkich, którzy mieli piekarnie, mieli masarnie, mieli te inne, to nawet zamykali i wszystko niszczyli. Tak że takie to były czasy, a już później, jak ja zacząłem robić, to już było dość, dość względnie. Dość względnie. Miałem kłopot tylko z tym, że odchodzę z produkcji, jakoś tak po cichu starałem się

załatwiać, nie ujawniałem się, że jestem inżynierem, pokazywałem dyplom technika i to było łatwiej.

A coś tak bardzo ogólnie: czy jakąś refleksją pan się chciałby przy tej okazji podzielić z perspektywy takiej, no nie-banalnej ścieżki życia, jaką pan miał i tej, i tej kariery swojej.

No co mogę powiedzieć? Że po tym osiemdziesiątym dziewiątym roku to byłem bardzo zawiedzony tą działalnością naszych władz, tą prywatyzacją, tą likwidacją PGR-ów, wyprzedaży majątku narodowego. Dostali się do władzy ci ludzie, którzy się nie powinni dostać. Oni nie działali dla Polski, tylko działali dla krajów zewnętrznych. W czasie okupacji niemieckiej i sowieckiej zginęła największa część młodzieży, wybitni ludzie, którzy byli patriotami. Ich do tego przygotowało poprzednie pokolenie, które wywalczyło Polsce wolność. I wielu z nich zginęło. Tak i „Zośka” – Tadeusz Zawadzki, dzieci nie zostawił. Jan Bytnar – „Rudy” – dzieci nie zostawił. Aleksy Dawidowski – „Alek” – dzieci nie zostawił. I tak by można wymieniać. „Anoda” – Jan Rodowicz, którego wyrzucili przez okno, dzieci nie zostawił, a ci ubowcy zostawili dzieci, tak jak Cimoszewicz, ci inni. I te dzieci tutaj w Polsce są i Polsce brużdżą. Walczą z religią, chcą wprowadzić... Chcą, żeby zboczeńcy dzieci wychowywali. Chcą demoralizować młodzież w szkole, dzieci w szkole już od najmłodszych lat. Tak że to jest taka moja refleksja na dzisiejsze czasy, patrząc z perspektywy lat, które przeżyłem w Polsce. Ja panu wyliczę w tym...

Chodzi o to, że bezdzietnie, odeszli bezdzietnie.

W zamachu 26 marca... Ja panu dwudziestu ośmiu wyliczę z pamięci wszystkich. Ja panu wyliczę wszystkich, którzy brali udział w zamachu na Kutscherę. I mało, ja nawet panu powiem, kto był, jak uzbrojony, jaki numer miał samochód. W jednym przypadku i w drugim. 72076 Renault – co odbili „Rudego”. A tamten miał: SS, chyba 975 czy odwrotnie, czy 795. Tak że wszystkich panu wyliczę. Ja tym żyję. Ja kocham Polskę, kocham Boga i ojczyznę.

Dziękujemy panu pięknie.

[01:10:55 KONIEC NAGRANIA]